

Igino Ugo Tarchetti (1839–1869)

Znany również jako Iginio, drugie imię przybrał na cześć włoskiego romantyka, Uga Foscola. Uważany za pierwszego autora włoskiej prozy fantastycznej. Jego zbiór *Racconti fantastici* (Opowiadania fantastyczne), z którego pochodzą prezentowane tu teksty, ukazał się w 1869 roku, na krótko po śmierci pisarza spowodowanej tyfusem. Pochodził z Piemontu, lecz należał do mediolańskiego odłamu Scapigliatury, włoskiej cyganerii. Był autorem nieukończonej powieści *Fosca*, której główna bohaterka cierpi na chorobę nerwową, będąc poniekąd prototypem kobiet fatalnych zaludniających prozę dekadencją. W trakcie niedługiego życia zmagał się z gruźlicą, a zły stan zdrowia – według relacji współczesnych – miał go upodabniać pod względem fizycznym do bohaterów opowieści niesamowitych. W Polsce opublikowano jedno jego opowiadanie, *Duch w krzaku malin*, w przekładzie Konstantego Jeleńskiego z 1984 roku.

ZŁY UROK

Czy naprawdę istnieją ludzie zdolni wywierać złowrogi wpływ na osoby i rzeczy ze swojego otoczenia? Doświadczamy tego na co dzień, ale nasz zimny i trzeźwy umysł, nawykły do uznawania tylko tych faktów, które podlegają kontroli zmysłów, sprzeciwia się tej prawdzie.

Jeśli uważnie zbadamy nasze poczynania, nawet te najbardziej zwyczajne i nic niewnoszące, stwierdzimy, że nie ma ani jednego, które by się oparło temu wyobrażeniu czy też nie wprowadziło nas w niepokój. Ten przesąd wpływa na nasze życie.

Wiele osób sądzi, że uchroni się, uznając to tylko za zabobon, i nie dostrzega, że jest to zwykły spór o słowa. Nie odbiera to wartości temu wyobrażeniu, ponieważ nawet przesąd jest wiarą.

Nie możemy nie przyznać, że zarówno w świecie duchowym, jak i fizycznym wszystko, co się wydarza, wydarza się i przekształca wskutek działania zasady wpływów, których tajemnicy nie zdołaliśmy jeszcze odgadnąć. Widzimy skutki, przyczyny zaś budzą w nas zdumienie i obnażają naszą nieznamość rzeczy. Dostrzegamy wpływ rzeczy na inne rzeczy, inteligencji na inteligencję oraz ich wzajemne przenikanie się po czasie; widzimy, jak te wpływy się krzyżują, wymieniają, oddziałują jedno na drugie, jak scalają w jeden ośrodek sprawczy te dwa tak różne światy, świat ducha i świat materii.

Tam, dokąd sięgnęła ludzka przenikliwość, zaprowadziliśmy wiarę; tajemnica zjawisk fizycznych została po części

naruszona; nauka zbadala naturę, jej systemy, jej prawa, jej wpływy, a niemal wszystkie są nam znane; utknęła jednak, gdy idzie o zjawiska psychiki i wzajemne powiązania jednych z drugimi. Nie mogła sięgnąć dalej, a nasze wierzenia pozostały na progu nieznanego królestwa. W dziedzinie faktów możemy przyjąć założenia ogólne, prawdy złożone; nie dotyczy to dziedziny idei.

Tam, gdzie fakty są niepewne, idee są niejasne. Zdarzają się fakty, których charakter nie jest wyrazisty, postrzegany zmysłami, dobrze określony, a nasz umysł, nawykły do analizowania, nie potrafi im zaprzeczyć ani też ich uznać. Istnieją zatem idee niedopełnione, niezrozumiałe, chwiejne, które nigdy nie ukształtują się w jasnej postaci i nigdy nie będziemy wiedzieli, czy je przyjąć, czy też odrzucić. Niepewność faktów, niezupełność idei, ten stan pośredni między wiarą nieugiętą a wiarą chwiejną tworzą być może to, co nazywamy przesądem – a co stanowi punkt wyjścia ogółu wielkich prawd. Ponieważ przesąd jest zarodkiem, pierwszym wyobrażeniem sumy wielkich wierzeń.

Kiedy widzę, jak przesąd opanowuje duszę mas, mówię, że jest w nim jakaś prawda, bo skoro nie ma idei bez faktów, przesąd musiał się zrodzić z jednego z nich. A jeśli ów fakt jeszcze się nie powtórzył i nie upowszechnił, stało się tak dlatego, że przed ludzkością jest długa droga – dłuższa od drogi rzeczy – i nikt nie może określić czasu ani okoliczności, w których ten fakt zdoła powrócić. Ludzie przyjęli łatwy i rozumny system w kwestii konwencji; uznają za prawdziwe to, co widzą, zaprzeczają temu, czego nie widzą; jednak nie przeszkodziło im to później uznać licznych prawd, którym wcześniej zaprzeczali. Nauka i postęp o tym świadczą. A zresztą niezależnie od wszystkiego, jeśli chodzi o wiarę w dobre i złowrogie wpływy ludzi i rzeczy, nie ma nikogo, kto nie miałby jakiejś wiary mniej lub bardziej ugruntowanej, mniej lub bardziej światłej, mniej lub bardziej potwierdzonej do-

świadczaniem. Co najwyżej chodziłoby o to, żeby rozpoznać, czy ma ona jakieś podstawy, czy też ich nie ma, i do jakiego stopnia powinna być akceptowana, nie zaś o to, żeby jej zaprzeczać, ponieważ istnienie tej wiary nie ulega kwestii.

Wszędzie znajduję na to dowody. Według mnie antypatia nie jest niczym innym jak świadomością fatalnego wpływu, który może na nas wyrzucić konkretna osoba. U nieuczonych mas ta świadomość wytworzyła jettaturę¹, u mas wykształconych – uprzedzenie, nieufność, podejrzliwość.

Często słyszy się jakże rozpowszechniony okrzyk: „Ten człowiek mi się nie podoba! Nie chciałbym go spotkać; budzi we mnie strach; wobec niego jestem nikim; ilekroć na niego wpadłem, przydarzyło mi się nieszczęście”. Ta wiara, która występuje pod tyloma postaciami, że prawie jej nie dostrzegamy, która jest nam niemal wrodzona, podobnie jak wszystkie odruchy obronne, dane nam od natury, nie jest udziałem nielicznych – jest naturalnym dziedzictwem wszystkich ludzi.

Przesąd towarzyszy człowiekowi od zarania, występuje u wszystkich ludów. Ludzie utalentowani, a także ci, którzy dużo wycierpieli, bardziej mu zawierzyli. Liczba tych, którzy dali wiare, że są prześladowani przez czyjś zły urok, jest nieskończona: równa tej, którzy uwierzyli, że sami rzucają zły urok. Hoffmann, taki dobry i serdeczny, całe życie był dręczony tą myślą.

Nie należy się zatem nad tym rozwodzić, ponieważ historia jest pełna takich przykładów, i każdy z nas może znaleźć w swoim życiu uzasadnienie dla tej niemal wrodzonej wiary.

Nie zamierzam dowodzić ani jej niedorzeczności, ani prawdy. Myślę, że nikt nie może tego dokonać za pomocą wiarygodnych argumentów. Ograniczę się do opowieści o faktach, które mają związek z tym przesądem.

¹ *Jettatura* (wł.) – zły urok, złe spojrzenie, sprowadzające nieszczęście (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczek).

Karnawał 1866 roku spędzałem w Mediolanie. Był to wieczór tłustego czwartku, a na głównej ulicy z maskami panował niezwykle ruch. Muszę jednak uściślić: ruch zapewniali przede wszystkim widzowie, nie maski. Gdyby zła reputacja – tak często nadużywana, chociaż niejednokrotnie sprawiedliwa – mogła dotyczyć również świąt ludowych, karnawał w Mediolanie niewątpliwie miałby w tym swój udział. Te święta są już wyłącznie mistyfikacją, ale przybysze, którzy co roku zjawiają się tu tysiącami, wcale nie bawią się gorzej. Wpajano im przekonanie, że mediolański karnawał jest najbardziej komicznym i wesołym widowiskiem na świecie. To przeświadczenie, raz przyswojone, nie potrzebowało żadnego dowodu – cel zabawy był osiągnięty.

W każdym razie karnawał roku 1866 nie był mniej ożywiony niż poprzednie, a w pierwszych wieczornych godzinach tłustego czwartku ludność wylała się na ulice strumieniami. Tłum tak szczelnie zakorkował miasto, że gdziekolwiek nie sposób się było poruszyć, a nieopodal skrzyżowania via di S. Paolo, gdzie się znajdowałem, panował ścisł.

Zacni mediolańczycy, wymieszani po bratersku z przybyszami, z upodobaniem wpatrywali się sobie w białka oczu – a jest to jedyna, ale niezrównana przyjemność słynnego karnawału.

Nie wiem, jak długo stałem wśród tej wielkiej ciżby, w niewygodnej pozycji, gdy odwróciwszy się, żeby zobaczyć, czy w jakiś sposób mogę się stamtąd wydostać, ujrzałem dosyć niespotykany widok.

Tłum się przerzedził, ale był tak stłoczony, że utworzył pośrodku dosyć duży krąg. W tym zadziwiającym kręgu stał młodzieniec, wyglądający na nie więcej niż osiemnaście lat, lecz jeśli dobrze się przyjrzeć, można mu było dać dwadzieścia pięć, tak bardzo jego twarz wyglądała na cierpiącą i tak wiele nosiła oznak udręki spowodowanej dłuższą egzystencją. Był jasnowłosy i piękny, niezwykle szczupły, choć nie